



*Arkadij Strugacki  
Borys Strugacki  
Śmiert' planetcziki*

## **EUNOMIA. NISZCZYCIELE PLANET**

— Stażysta Borodin — powiedział Byków składając gazetę. — Stażysto, pora spać.

Jura wstał, zamknął książkę, zawahał się chwilę, po czym schował ją do szafy. Nie będę dziś czytał, pomyślał. Trzeba się wreszcie wyspać.

— Dobranoc — powiedział.

— Dobranoc — odparł Bykow i rozłożył kolejną gazetę. Jurkowski, nie odrywając się od papierów, zrobił ręką niedbały gest. Gdy Jura wyszedł, zapytał:

— Jak sądzisz, Aleksy, co on jeszcze lubi?

— Kto?

— Nasz kadet. Wiem, że lubi spawanie próżniowe i że potrafi to robić. Widziałem na Marsie. A co poza tym?

— Lubi dziewczęta — powiedział Bykow.

— Nie dziewczęta, lecz dziewczynę. Ma jej fotografię.

— Nie wiedziałem.

— Można się było domyślić. W wieku dwudziestu lat, wyruszając na daleką wyprawę, wszyscy biorą ze sobą fotografie, a potem nie wiedzą, co z nimi robić. W książkach piszą, że trzeba ukradkiem na nie patrzeć, a oczy przy tym mają być pełne łez albo przynajmniej zamglone. Tylko że na to zawsze brak czasu. Albo jeszcze czegoś innego, ważniejszego. Ale wróćmy do naszego stażysty.

Bykow odłożył gazetę, zdjął okulary i spojrzał na Jurkowskiego.

— Skończyłeś wszystko na dzisiaj? — spytał.

— Nie — powiedział Jurkowski z rozdrażnieniem. — Nie skończyłem i nie chcę o tym mówić. Od tych idiotycznych papierków spuchła mi głowa. Chcę odprężyć się. Czy możesz odpowiedzieć na moje pytanie?

— Najlepiej odpowie ci Iwan — powiedział Bykow. — Jura od niego nic odstępuje na krok.

— Ale Iwana tu nie ma, więc pytam ciebie, chyba wszystko jest jasne.

— Nie denerwuj się tak, Wołodia, rozboli cię wątroba. Nasz stażysta to jeszcze dzieciak. Umie pracować, ale niczego specjalnie nie lubi, bo jeszcze nie zna niczego. Lubi Aleksego Tołstoja. I Wellsa. A Galsworthy jest dla niego nudny. „Drogę dróg” też uważa za nudną. Poza tym bardzo lubi Żylina i nie lubi pewnego barmana w Mirza-Charlee. To jeszcze dzieciak. Nierozwinięty pączek.

— W jego wieku — powiedział Jurkowski — bardzo lubiłem pisać wiersze. Marzyłem, żeby zostać pisarzem. A potem przeczytałem w jakiejś książce, że pisarze są podobni do nieboszczyków: lubią, kiedy się o nich mówi dobrze albo wcale... Tak. Ale po co ja to wszystko mówię?

— Nie wiem — powiedział Bykow. — Moim zdaniem, po prostu chcesz się wymigać od pracy.

— O, nie, daj spokój... Tak! Interesuje mnie wewnętrzny świat naszego stażysty.

— Stażysta to stażysta — powiedział Bykow.

— Stażysta stażycie nierówny — zaoponował Jurkowski. — Ty też jesteś stażystą i ja jestem stażystą. Wszyscy jesteśmy stażystami w służbie przyszłości. Starymi stażystami i młodymi

stażystami. Całe życie odbywamy staż, każdy na swój sposób. A gdy umrzemy, potomkowie ocenią nasz trud i wydadzą nam dyplom na nieśmiertelność.

— Wydadzą albo nie — w zamyśleniu powiedział Bykow, patrząc w sufit. — Zazwyczaj, niestety, nie wydają.

— Cóż, to nasza wina, ale nie nasz kłopot. Nawiasem mówiąc, czy wiesz, kto zawsze dostaje ten dyplom?

— Kto?

— Ci, którzy wychowują następców. Tacy jak Krajuchin.

— Zapewne — powiedział Bykow. — Ale co ciekawe, tacy ludzie, w przeciwieństwie do wielu innych, wcale nie dbają o dyplomy.

— I niesłusznie. Interesowało mnie zawsze takie pytanie: czy z pokolenia na pokolenie stajemy się coraz lepsi? Właśnie dlatego zacząłem mówić ó naszym kadecie. Starcy mówią zawsze: „Ach, ta dzisiejsza młodzież! My, to dopiero byliśmy!”

— Tak mówią bardzo głupi starcy, mój drogi. Krajuchin tak nie mówił.

— On po prostu nie lubił teoretyzowania. Brał młodych, wrzucał ich do pieca i patrzył, co z tego wyjdzie. Jeśli nie ginęli w ogniu, uznawał ich za równych sobie.

— A jeśli ginęli?

— Z reguły tak nie było.

— A widzisz, sam odpowiedziałeś na swoje pytanie — powiedział Bykow i znów zabrał się do gazety. — Stażysta Borodin jest teraz w drodze do pieca, wygląda na to, że nie zginie w ogniu, spotkasz go za dziesięć lat, on cię nazwie starą piaskownicą i ty, jako uczciwy człowiek, będziesz musiał przyznać mu rację.

— Pozwól no — sprzeciwił się Jurkowski — przecież na nas spoczywa jakaś odpowiedzialność. Chłopaka trzeba czegoś uczyć!

— Życie go nauczy — krótko odpowiedział Bykow z gazety. Do mesy wszedł Michał Antonowicz w piżamie, w kapciach na bosych nogach i z wielkim termosem w ręku.

— Dobry wieczór, chłopcy — powiedział. — Przyszła mi ochota na herbatkę.

— Herbatka, czemu nie? — ożywił się Bykow.

— Jak herbatka to herbatka — powiedział Jurkowski i zaczął sprzątać ze stołu swoje papiery.

Kapitan i nawigator nakryli stół, Michał Antonowicz nałożył konfitury na spodeczki, a Bykow nalał wszystkim herbaty.

— A gdzie Jurik? — spytał Michał Antonowicz.

— Śpi — odparł Bykow.

— A Waniusza?

— Na wachcie — cierpliwie odpowiedział Bykow.

— No to doskonale — powiedział Michał Antonowicz. Skosztował herbaty, zmrużył oczy i rzekł: — Chłopcy, nigdy nie wyrażajcie zgody na pisanie pamiętników. Zajęcie nudne jak flaki z olejem!

— Po prostu zmyślaj — poradził mu Bykow.

— Jak to?

— Tak jak to robią w powieściach: Młoda Marsjanka przymknęła oczy i podała mi półotwarte usta. Objąłem ją namiętnie.

— Całą — dodał Jurkowski.

Michał Antonowicz spiekł raka.

— Widzisz go, rumieni się, stary piernik — zawołał Jurkowski. — Oj, Misza, chyba masz coś na sumieniu! Bykow zachichotał i zakrztusił się herbatą.

— Tfu! — powiedział Michał Antonowicz. — Pal was wszyscy diabli! — Pomyślał przez chwilę i nagle oświadczył: — Wiecie co, chłopcy? Rzucę w diabły to pisanie pamiętników. No i co mi zrobią?

— Poradz nam co innego — powiedział Bykow. — W jaki sposób wpłynąć na Jurę? Michał Antonowicz przestraszył się.

— A co się stało? Coś nabroił?

— Na razie nie. Ale Władimir uważa, że musimy na niego wywierać wpływ.

— Wydaje mi się, że i tak wywieramy. Waniuszki nie odstępują na krok, a ciebie, Wołodia, po prostu uwielbia. Ze dwadzieścia razy opowiadał, jak wszedłeś do pieczary z pijawkami.

Bykow podniósł głowę.

— Z jakimi pijawkami? — spytał.

W poczuciu winy Michał Antonowicz poruszył się niespokojnie.

— Ach, to legendy — powiedział Jurkowski nie mrugnawszy okiem. — To było jeszcze... eee... bardzo dawno. A więc pytanie: jak wyrzucić wpływ na Jurę? Chłopcu trafiła się jedyna w swym rodzaju okazja zobaczyć świat najlepszych ludzi. Z naszej strony byłoby po prostu... eee...

— Widzisz, Wołodia — powiedział Michał Antonowicz. — Jura to wspaniały chłopak. Bardzo dobrze wychowany przez szkołę. W nim już są... jak by to powiedzieć... załóżki dobrego człowieka. Zrozum, Jura nigdy nie pomyli dobra ze złem...

— Prawdziwy człowiek — powiedział z naciskiem Jurkowski — wyróżnia się szerokimi horyzontami.

— Słusznie, Wołodia — powiedział Michał Antonowicz. — A właśnie Jurik...

— Prawdziwego człowieka kształtują tylko prawdziwi ludzie, ludzie pracy, i tylko prawdziwe życie, bogate i trudne.

— Ale przecież nasz Jurik...

— Powinniśmy skorzystać z nadarzającej się sposobności i pokazać mu prawdziwych ludzi w prawdziwym, trudnym życiu.

— Słusznie, Wołodia, i jestem przekonany, że Jurik...

— Wybacz, Michale, ale jeszcze nie skończyłem. Otóż jutro przelecimy w śmiesznie małej odległości od Eunomii. Wiecie, co to jest Eunomia?

— Oczywiście — powiedział Michał Antonowicz. — Planetoida, półoś duża dwie całe i sześćdziesiąt cztery setne jednostek astronomicznych, mimośród...

— Nie o to chodzi — niecierpliwie przerwał Jurkowski. — Czy wiecie, że na Eunomii już trzy lata pracuje jedyna na świecie stacja fizyczna, zajmująca się badaniem grawitacji?

— No pewnie — powiedział Michał Antonowicz. — Przecież tam...

— Ludzie pracują tam w wyjątkowo trudnych warunkach — mówił Jurkowski natchnionym tonem. Bykow patrzył na niego uważnie. — Dwudziestu pięciu ludzi, mocni jak diament, mądrzy, odważni, rzekłbym nawet szaleńczo odważni! Kwiat ludzkości! Oto znakomita okazja, by zapoznać chłopca z prawdziwym życiem!

Bykow milczał. Michał Antonowicz powiedział zatroskanym tonem:

— Znakomita myśl, Wołodia, ale to już...

— I właśnie teraz zamierzają przeprowadzić nadzwyczaj interesujący eksperyment. Badają rozchodzenie się fal grawitacyjnych. Czy wiecie, co to jest planeta skazana na zagładę? Bryła skalna, która w wyznaczonej chwili zamienia się cała w promieniowanie! Widok nadzwyczaj pouczający!

Bykow milczał. Milczał również Michał Antonowicz.

— Zobaczyć prawdziwych ludzi w procesie prawdziwej pracy — czyż to nie piękne?

Bykow milczał.

— Sądzę, że dla naszego stażysty będzie to bardzo pożyteczne — powiedział Jurkowski i dodał ciszej: — Nawet ja nie miałbym nic przeciwko temu, by tam zajrzeć. Dawno interesuję się warunkami pracy niszcycieli planet.

Bykow odezwał się wreszcie.

— No cóż — powiedział. — To rzeczywiście ciekawe.

— O, z pewnością! — zawołał Jurkowski. — Myślę, że zajrzemy tam, co?

— Hm, taaak — wymamrotał Bykow.

— No to doskonale — powiedział Jurkowski. Spojrzał na Bykova i spytał: — Czy masz jakieś wątpliwości, Aleksy?

— Mam — powiedział Bykow. — Na mojej trasie jest Mars. Jest również Bamberga z jej parszywymi kopalniami. Jest kilka satelitów Saturna. Jest układ Jowisza. I jeszcze coś niecoś. Jednego tam nie ma. Nie ma tam Eunomii.

— No, jak by tu rzec... — spuszczać wzrok i bębniąc palcami po stole powiedział Jurkowski. — Przyjmijmy, Alosza, że to niedopatrzenie ze strony zarządu.

— Będziesz musiał, mój drogi, odłożyć odwiedzin Eunomii na następny raz.

— Czekaj, czekaj, Alosza... eee... Bądź co bądź jestem inspektorem generalnym, mogę zarządzić, postanowić...eee... w kwestii zmiany trasy...

— Od razu byś tak powiedział. A ty mi zawracasz głowę zadaniami wychowawczymi.

— No, zadania wychowawcze; to samo przez się... Tak.

— Nawigatorze — powiedział Bykow — generalny inspektor zarządził zmianę kursu. Obliczyć kurs na Eunomię.

— Tak jest — odparł Michał Antonowicz i spojrzał na Jurkowskiego zatroskanym wzrokiem. — Wiesz, Wołodia, z paliwem jest nietęgo. Eunomia to spory szmat dodatkowej drogi... Trzeba będzie dwa razy hamować. I jeden raz się rozpędzać. Szkoda, żeś tego nie powiedział tydzień wcześniej.

Jurkowski wyprostował się dumnie.

— Eee... słuchaj, Michał. Czy w pobliżu są automatyczne stacje paliwowe?

— Są, oczywiście — odrzekł Michał Antonowicz.

— No to paliwo będzie — powiedział Jurkowski.

— Jak będzie paliwo, to będzie Eunomia — powiedział Bykow, wstał i poszedł w stronę swego fotela. — No cóż, ja i Misza nakrywaliśmy stół, to teraz ty, inspektorze generalny, sprzątnij.

— Wolterianie — powiedział Jurkowski i zaczął sprzątać ze stołu. Bardzo się cieszył ze swego małego zwycięstwa. Bykow mógł go nie posłuchać. Kapitan statku, który wiezie inspektora generalnego, też ma wielkie pełnomocnictwa.

Obserwatorium fizyczne „Eunomia” poruszało się dokoła Słońca mniej więcej tam, gdzie była kiedyś planetoida Eunomia. Gigantyczna skała o średnicy dwustu kilometrów, w ciągu ostatnich kilku lat została prawie doszczętnie zniszczona podczas eksperymentów. Z planetoidy pozostał tylko rzadziutki rój stosunkowo niewielkich odłamków oraz siedemsetkilometrowa chmura pyłu kosmicznego — wielka srebrzysta kula, lekko już rozciągnięta siłami przyptywów. Samo obserwatorium fizyczne mało różniło się od ciężkich sztucznych satelitów Ziemi: był to układ torusów, walców i kuł, połączonych błyszczącymi linami, poruszających się dokoła wspólnej osi. W laboratorium pracowało dwudziestu siedmiu fizyków i astronomów, „mocnych jak diament, mądrych, odważnych”, czasem nawet „szaleńczo odważnych”. Najmłodszy z nich miał dwadzieścia pięć lat, najstarszy trzydzieści cztery.

Załoga „Eunomii” zajmowała się badaniem promieni kosmicznych, eksperymentalnym sprawdzaniem jednolitej teorii pola, próżnią, najniższymi temperaturami, kosmogonią

eksperymentalną. Ogłoszono, że wszystkie niewielkie planetoidy w promieniu dwudziestu megametrów od „Eunomii” są skazane na zagładę; były już albo zniszczone, albo przeznaczone do zniszczenia. Zajmowali się tym głównie kosmogoniści i relatywiści. Niszczenie maleńkich planet odbywało się w różny sposób. Zamieniano je w rój kruszywa, w chmurę pyłu, w obłok gazu albo w błysk światła. Niszczono je w naturalnych warunkach i w silnym polu magnetycznym, momentalnie lub stopniowo, rozciągając proces na dekady i miesiące. Był to jedyny w układzie słonecznym poligon kosmogoniczny i jeśli teraz obserwatoria okołoziemskie stwierdziły wybuch nowej gwiazdy z dziwnymi liniami w widmie, to najpierw stawiano pytanie: gdzie jest teraz „Eunomia” i czy czasem nie w jej pobliżu zapłonęła nowa gwiazda? Międzynarodowy Zarząd Podróży Kosmicznych ogłosił okolice „Eunomii” strefą zamkniętą dla wszystkich regularnych planetolotów.

„Tachmasib” zastopował koło „Eunomii” na dwie godziny przed rozpoczęciem kolejnego eksperymentu. Relatywiści zamierzali zamienić w promieniowanie kamienny odłamek wielkości Ewerestu, o masie oznaczonej z dokładnością do kilku gramów. Kolejna planeta skazana na zagładę znajdowała się na peryferiach poligonu. Wysłano tam już dziesięć kosmoskafów z obserwatorami i aparaturą, tak że w obserwatorium pozostało tylko dwóch ludzi — kierownik i dyżurny dyspozytor.

Dyżurny dyspozytor powitał Jurkowskiego i Jurę koło kesonu. Był to człowiek chudy jak tyczka, bardzo bladej i piegowaty. Oczy miał bladoniebieskie, patrzące obojętnie.

— Eee... dzień dobry — powiedział Jurkowski. — Jestem Jurkowski, inspektor generalny MZPK.

Wyglądało na to, że dla niebieskookiego chłopaka spotkania z inspektorami generalnymi nie były pierwszą. Spokojnie, bez pośpiechu obejrzał Jurkowskiego i powiedział:

— Cóż, proszę wejść.

Odwrócił się plecami do Jurkowskiego i kłapiąc magnetycznymi podeszwami, ruszył korytarzem.

— Chwileczkę! — zawołał Jurkowski. — A gdzie jest... eee... kierownik?

Niebieskooki chłopak nie odwracając się powiedział:

— Prowadzę was do niego.

Jurkowski i Jura ruszyli za nim. Jurkowski półgłosem powtarzał:

— Dziwne tu jednak, eee... obyczaje. Bardzo dziwne...

W końcu korytarza niebieskooki otworzył okrągły luk i wszedł weń. Jurkowski i Jura usłyszeli:

— Kostia, do ciebie...

Słysząc było, jak ktoś wołał dźwięcznym, wesołym głosem:

— Szósty! Szaska! Szaleńcze, gdzie się pchasz? Zlituj się nad swymi dziećmi! Odsuń się na sto kilometrów, tam jest niebezpiecznie! Trzeci! Trzeci! Przecież powiedziałem ci po rosyjsku! Trzymaj się ze mną w jednej linii. Szósty, nie gderaj na szefa! Szef przejawia troskę, a ten niezadowolony!

Jurkowski i Jura wgramolili się do małej klitki, całej zastawionej aparaturą. Przed wypukłym ekranem wisiał chudy, bardzo śniady chłopak koło trzydziestki, w niebieskich pofałdowanych spodniach, w białej koszuli i czarnym krawacie.

— Kostia — powiedział do niego niebieskooki i zamilkł. Kostia zwrócił ku przybyłym wesołą, sympatyczną twarz z orlim nosem, kilka sekund przyglądał się im, uprzejmie się przywitał, po czym znów odwrócił się do ekranu. Na ekranie powoli przesuwało się po liniach sieci współrzędnych kilka jaskrawych, różnobarwnych punktów.

— Dziesiąty, dlaczego stanąłeś? Straciłeś zapalniczki czy co? Ano, jeszcze trochę do przodu... Szósty, robisz sukcesy. Głowa mnie przez ciebie rozboleła. Ty co, postanowiłeś lecieć do domu, na Ziemię?

Jurkowski głośno kaszlnął. Wesoły Kostia wyjął z prawego ucha błyszczącą kulkę, odwrócił się do Jurkowskiego i spytał:

— Kim jesteście, drodzy goście?

— Jestem Jurkowski — znacząco powiedział Jurkowski.

— Jaki znów Jurkowski? — wesoło i niecierpliwie spytał Kostia. — Znałem jednego Jurkowskiego, Włodzimierza Siergiejewicza.

— To ja jestem — powiedział Jurkowski.

Kostia bardzo się uradował.

— Znakomicie! — zawołał. — W takim razie proszę stanąć przy tym pulpicie. Będzie pan kręcił czwartą gałką, napisane na niej arabską cyfrą „cztery”, tak żeby ta gwiazdka nie wychodziła z tego kółeczka...

— Przepraszam, ale jednak... — powiedział Jurkowski.

— Tylko proszę mi nie mówić, że pan nie zrozumiał! — zawołał Kostia. — Inaczej rozczaruję się do pana.

Niebieskooki chłopak podpłynął do niego i zaczął coś szeptać. Kostia wysłuchał go i zatkał ucho błyszczącą kulką.

— Niech mu to poprawi samopoczucie — powiedział, po czym głośno zawołał: — Obserwatorzy, słuchajcie mnie, znowu obejmuję komendę. Stoicie teraz świetnie, jak Zaporozcy na obrazie Riepina! Tylko nie dotykać więcej sterowania! Wyłączam się na dwie minuty. — Znów wyjął błyszczącą kulkę. — A więc został pan inspektorem generalnym, Włodzimierzu Siergiejewiczu? — spytał.

— Tak, zostałem — powiedział Jurkowski. — I chciałbym...

— A kim jest ten młodzian? Czy to też inspektor generalny? Ezra — zwrócił się do niebieskookiego — niech Włodzimierz Siergiejewicz trzyma oś, a ty daj chłopcu jakąś pożyteczną zabawę. Najlepiej postaw go przy swoim ekranie, niech zobaczy...

— Może dadzą mi tu jednak dojść do słowa? — spytał Jurkowski w przestrzeń.

— Oczywiście, proszę mówić — rzekł Kostia. — Ma pan jeszcze całych dziewięćdziesiąt sekund.

— Chciałbym... eee... dostać się na jeden z kosmoskafów — powiedział Jurkowski.

— Oho! — powiedział Kostia. — Lepiej by pan zechciał dostać koło od trolejbusu. A jeszcze lepiej, gdyby pan chciał kręcić gałką numer cztery. Na kosmoskafy nawet ja nie mogę. Wszystkie miejsca zajęte, jak na koncercie Blumberga. Natomiast starannie kręcąc gałką, zwiększa pan dokładność eksperymentu o cztery procent.

Jurkowski wyniośle wzruszył ramionami.

— No dobrze — powiedział. — Widzę, że przyjdzie mi... A dlaczego... eee... nie jest to u was zautomatyzowane?

Kostia już wkładał do ucha błyszczącą kulkę. Chudy jak tyczka Ezra, zadudnił, jakby mówił w beczkę.

— Aparatura? Paskudztwo. Przestarzała.

Włączył wielki ekran i kiwnięciem palca przywołał do siebie Jurę. Jura podszedł do ekranu i spojrzął na Jurkowskiego. Ten, boleśnie marszcząc brwi, trzymał rękę na gałce i patrzył na ekran, przed którym stał Jura. Jura też spojrzął na ekran. Świeciło się tam kilka jasnych, okrągłych plamek, przypominających ni to kleksy, ni to kulki rzepu. Ezra tknął kościstym palcem jednej z plamek:

— Kosmoskaf — powiedział. Kostia znów zaczął komenderować:

— Obserwatorzy, jeszcze nie śpicie? Co tam u was tak się ciągnie? Co, jeszcze czas? Sasza, powinieneś spalić się ze wstydu, zostały zaledwie trzy minuty. Koryto? Ach, fotonowe koryto? To przybył do nas inspektor generalny. Uwaga, teraz poważnie. Pozostało trzydzieści... dwadzieścia dziewięć... dwadzieścia osiem... dwadzieścia siedem...

Ezra wskazał palcem na środek ekranu.

— Tu — powiedział.

Jura zaczął wpatrywać się w środek. Nic tam nie było.

— ...piętnaście... czternaście... Włodzimierzu Siergiejewiczu, proszę trzymać oś... dziesięć, dziewięć...

Jura wyteżał wzrok. Ezra również kręcił gałką, widocznie też trzymał jakąś oś.

— ...trzy... dwa... jeden... zero!

W środku ekranu zapalił się jaskrawy, biały punkt. Potem ekran stał się biały, oślepiająco biały i wreszcie czarny. Pod sufitem przenikliwie i krótko rozdzwoniły się dzwonki. Czerwone lampki na pulpicie koło ekranu zapaliły się i zgasty. I znów na ekranie pojawiły się okrągłe plamy, przypominające kulki rzepu.

— To wszystko — powiedział Ezra i wyłączył ekran.

Kostia zręcznie zsunął się na podłogę.

— Osi już można nie trzymać — powiedział. — A teraz rozbierajcie się, zaczynam przyjmować pacjentów.

— Co takiego? — spytał Jurkowski. Kostia wyciągnął spod pulpitu pudełko z pigułkami.

— Częstujcie się — powiedział. — To oczywiście nie czekolada, ale za to pożyteczniejsze.

Podszedł Ezra i w milczeniu wziął dwie pigułki. Jedną z nich podał Jurze. Jura niezdecydowanie spojrzał na Jurkowskiego.

— Pytam, co to jest? — powtórzył Jurkowski.

— Gamma–radiofag — wyjaśnił Kola. Spojrzał na Jurę. — Jedz, jedz, młodzieńcze — powiedział. — Dostałeś cztery remy i trzeba się z tym liczyć.

— Tak — powiedział Jurkowski. — Słusznie.

Sięgnął do pudełka. Jura wziął pigułkę do ust. Była bardzo gorzka.

— A więc, czym możemy służyć inspektorowi generalnemu? — spytał Kostia chowając pudełko z powrotem pod pulpit.

— Właściwie to chciałem... eee... być obecny przy eksperymencie — powiedział Jurkowski — no, a jednocześnie... eee... wyjaśnić sytuację na stacji... postulaty pracowników... czy wreszcie skargi... Co? Widzę na przykład, że laboratorium ma marną ochronę przed promieniowaniem... Ciasno tu. Kiepska automatyzacja, przestarzałe wyposażenie... Co?

Kostia powiedział z westchnieniem:

— Tak, to prawda, gorzka jak gamma–radiofag. Lecz jeśli pan spyta, na co się skarżę, to będę musiał odpowiedzieć, że na nic. Oczywiście skargi są. Na tym świecie nie może obejść się bez skarg. Ale to nie my się skarżymy, to na nas się skarżą. Zgodzi się pan jednak, że byłoby śmieszne, gdybym panu, inspektorowi generalnemu, opowiadał, dlaczego skarżą się na nas. Nawiasem mówiąc, czy nie chce pan jeść? To bardzo dobrze, że pan nie chce. W naszej spiżarni nic pan nie znajdzie. Najbliższy tankowiec z zaopatrzeniem przybędzie dziś wieczór lub jutro i proszę mi wierzyć, że to jest bardzo smutne, ponieważ fizycy przyzwyczaili się jadać codziennie i żadne błędy zaopatrzenia nie mogą ich tego oduczyć. No, a jeśli chce pan poważnie usłyszeć moje zdanie o skargach, to powiem panu krótko i jasno, jak ukochanej dziewczynie: ci dyplomowani bylejakierzy z naszego kochanego MZPK zawsze na coś się skarżą. Jeśli pracujemy szybko, skarżą się, że za szybko i szybko niszczyliśmy drogocenną albo unikalną aparaturę, że u nas stale pożar i że



oni nie nadążają. A jeśli pracujemy powoli... Zresztą, co ja gadam? Jeszcze nie było takiego dziwaka, który by skarżył się, że pracujemy powoli. Nawiasem mówiąc, Włodzimierzu Siergiejewiczu, był pan przecież świetnym planetologiem, nauczyliśmy się wszyscy z pana doskonałych książek i wszelkich sprawozdań! Po co pan poszedł do MZPK i jeszcze zajął się generalną inspekcją?

Oszołomiony Jurkowski patrzył na Kostię. Jura zastygł w napięciu, czekając, że za chwilę wybuchnie burza. Ezra stał i obojętnie mrugał żółtymi, krowimi rzęsami.

— Eee... — chmurnym tonem zaczął Jurkowski. — A właściwie dlaczego by nie?

— Zaraz panu wytłumaczę, dlaczego nie — powiedział Kostia i popchnął go palcami w pierś. — Pan jest wybitnym uczonym, ojcem współczesnej planetologii! Od dzieciństwa biła z pana fontanna pomysłów! Że gigantyczne planety powinny mieć pierścienie, że planety mogą kondensować się bez centralnej gwiazdy, że pierścień Saturna jest sztucznego pochodzenia — proszę zapytać Ezry: kto na to wszystko wpadł? Ezra odpowie bez namysłu:

Jurkowski! I wszystkie te smaczne kąski oddał pan na pożarcie makrełom, a sam został bylejakierem!

— Ależ skądże! — zaprzeczył Jurkowski dobrodusznie. — Jestem tylko... eee... zwykłym uczonym...

— Był pan zwykłym uczonym! Teraz jest pan, przepraszam za wyrażenie, zwykłym inspektorem generalnym. No, niech pan powie poważnie: po co pan tu przyjechał? Nie może pan ani zadać sensownego pytania, ani poradzić, a tym bardziej pomóc. No, powiedzmy, że z uprzejmości oprowadzę pana po laboratoriach, że będziemy chodzili jak dwaj lunatycy i ustępowali sobie miejsca przed każdym lukiem! I będziemy uprzejmie milczeli, gdyż pan nie wie, jak spytać, a ja nie wie(r), jak odpowiedzieć. Przecież żeby wytłumaczyć, co się dzieje na stacji, trzeba by zebrać dwudziestu siedmiu ludzi, a dwudziestu siedmiu ludzi nie wejdzie tutaj nawet przez szacunek do inspektora generalnego, bo jest ciasno, jeden nawet mieszka w windzie...

— Niesłusznie pan sądzi... eee... że to mnie cieszy — przerwał mu Jurkowski oficjalnym tonem. — Mam na myśli takie... eee... przeludnienie stacji. O ile wiem, stacja obliczona jest na załogę pięciu grawimetrystów. I gdyby pan jako kierownik stacji pilnował przestrzegania obowiązujących przepisów, zatwierdzonych przez MZPK...

— Ależ Włodzimierzu Siergiejewiczu! — zawołał wesół Kostia. — Towarzyszu inspektorze generalny! Przecież ludzie chcą pracować! Grawimetryści chcą pracować? Chcą. A relatywiści? Też chcą. Już nic nie mówię o kosmogonistach, którzy wdarli się tu dosłownie po moim trupie. A na Ziemi jeszcze z półtorej setki ludzi wścieka się z niecierpliwości... Wielkie mi coś, nocować w windzie! Co, mamy czekać, aż MZPK zakończy budowę nowej stacji? Nie, Planetolog Jurkowski rozumowałby zupełnie inaczej. Nie miałby do mnie pretensji o przeludnienie. Nie żądałby, żebym mu wszystko wytłumaczył. Tym bardziej że nie jest Heisenbergiem i zrozumiałby najwyżej połowę. Nie, Planetolog Jurkowski powiedziałby: Kostia! Potrzebuję eksperymentalnej podbudowy do mojej nowej, wspaniałej idei. Weźmy się za to, Kostia! Wtedy ustąpiłbym panu swoje posłanie, sam bym zajął windę awaryjną i pracowalibyśmy razem dopóty, dopóki wszystko nie stałoby się jasne jak wiosenny poranek. A pan przyjeżdża wysłuchiwać skarg. Jakie mogą być skargi człowieka zajętego interesującą pracą?

Jura westchnął z ulgą. Burza jednak nie wybuchła. Twarz Jurkowskiego stawała się coraz bardziej zamyślona, a nawet smutna.

— Tak — powiedział wreszcie. — Chyba ma pan rację... eee... Kostia. Rzeczywiście, nie powinienem był przyjeżdżać tutaj w takim... eee.. charakterze. I ja... eee.... zazdroścę panu, Kostia. Z panem popracowałbym z przyjemnością. Ale... eee.... są stacje... eee.... i stacje. Nie wyobraża pan sobie, Kostia, ile skandalicznych nieporządków można znaleźć jeszcze w naszym

systemie. Właśnie dlatego Planetolog Jurkowski musiał... eee... zostać generalnym inspektorem Jurkowskim.

— Skandalicznymi nieporządkami — wtrącił Kostia — powinna zająć się policja kosmiczna...

— Nie zawsze — odparł Jurkowski — niestety, nie zawsze. Na korytarzu coś szczęknęło i załomotało. Rozległo się bezładne człapanie podków magnetycznych. Ktoś wrzasnął:

— Koostia! Jest wyprzedzenie! O trzy milisekundy!...

— O! — powiedział Kostia. — Wracają moi robociarze, zaraz będą chcieli jeść. Ezra — spytał — jak tu im delikatnie dać do zrozumienia, że tankowiec przybędzie dopiero jutro?

— Kostia — powiedział Jurkowski — dam wam skrzynkę konserw.

— Wolne żarty! — ucieszył się Kostia. — Pan jest genialny. Dwa razy daje, kto prędko daje. Proszę uważać, że jestem panu winien dwie skrzynki konserw.

Przez luk jeden po drugim przecisnęło się czterech ludzi i w pomieszczeniu od razu zrobił się tłok. Jurę zepchnęli w kąt i zagrozdziłi szerokimi plecami. Dobrze widział tylko wąską potylicę Ezry i jego rozwichrzoną czuprynę, czyjąś wygoloną jak łysina czaszkę i jeszcze czyjś muskularny kark. Poza tym Jura widział nogi — znajdowały się nad głowami; ogromne buciory z błyszczącymi, startymi podkowami przesuwały się ostrożnie w odległości dwóch centymetrów od wygolonej czaszki. W prześwitach chwilami widział orli profil Kostii i brodatą fizjonomię czwartego robociarza. Jurkowskiego nie było widać, prawdopodobnie też go gdzieś zepchnęli. Mówili wszyscy naraz.

— Rozrzut punktów jest bardzo mały. Liczyłem na chybca, ale trzy milisekundy to zupełnie pewne.

— Ale jednak trzy, nie sześć!

— Nie o to chodzi! Ważne, że powyżej granicy błędu!

— Żeby tak anihilować Marsa, to by była dokładność!

— O, tak, można by wtedy wyrzucić połowę grawiskopów.

— Paskudny przyrząd ten grawiskop. Kto go też wymyślił?

— Podziękuj, że choć taki jest. Czy wiesz, jak robiliśmy to dawniej?

— Patrzcie, grawiskopy już mu się nie podobają!

— A czy dostaniemy coś do zjedzenia?

— A propos jedzenia. Kostia, zjedliśmy już cały radiofag.

— Taaak, dobrze, że przypomniałeś. Kostia, daj nam tabletki.

— Chłopaki, zdaje się, że zełgałem. Nie trzy milisekundy, ale cztery.

— Wszystko to zawracanie głowy. Daj Ezrze, niech obliczy porządnie.

— Racja... Ezra, weź to, kochany, ty masz najzimniejszą krew, mnie się ręce trzęsą z chciwości.

— Dzisiejszy wybuch był niesłychanie piękny. O mało nie oślepiłem. Lubię wybuchy z anihilacją! Czuję się wtedy stwórcą, człowiekiem przyszłości...

— Słuchaj, Kostia, co tam gadał Pagawa, że teraz będą tylko wybuchy ogniskowe? A my to co?

— Masz sumienie? Myślisz, że to jest obserwatorium grawitacyjne? A kosmogoniści to chłopcy na posyłki?

— Oj, Fanas, lepiej nie wdawaj się w kłótnie. Było nie było, Kostia jest szefem. A do czego jest szef? Po to, żeby było sprawiedliwie.

— To po co nam w takim razie szef — swój człowiek?

— Oho! Więc ja już się wam nie podobam? Co to jest, bunt? Gdzie moje botforty, mankiety z brabanckich koronek i pistolety?

— Nawiasem mówiąc, ja bym coś zjadł.

— Policzyłem — powiedział Ezra.

— No i co?  
— Nie poganiajcie go, on tak szybko nie może.  
— Trzy i osiem dziesiątych.  
— Ezra! Każde twoje słowo jest na wagę złota!  
— Błąd plus minus dwa i dwie dziesiąte.  
— Nasz Ezra zrobił się dzisiaj gadatliwy! Jura nie wytrzymał i szepnął Ezzre na ucho:  
— Co się stało? Dlaczego wszyscy się tak cieszą? Ezra odwrócił nieco głowę i wybębnił:  
— Uzyskaliśmy wyprzedzenie. Udowodniliśmy. Grawitacja rozchodzi się. Szybciej niż światło. Po raz pierwszy wykazaliśmy;  
— Trzy i osiem — oznajmił chłopak z ogoloną głową. — To znaczy, że utarliśmy nosa temu bylejakierowi z Leningradu, jak go tam zwał...  
— Świetny początek. Teraz by tylko coś zjeść, wymordować kosmogonistów i wziąć się naprawdę do roboty.  
— Posłuchajcie, uczeni, dlaczego nie ma tu Kramera?  
— Bujał, że ma dwie puszki konserw. Szuka ich teraz w swoich starych szpargałach. Zrobimy ucztę głodomorów, po jednej puszcze na czternastu chłopca.  
— Głodomorów i ubogich duchem.  
— Ciszej, uczeni, zaraz was pocieszę.  
— O jakich konserwach bujał Walerka?  
— Krążą plotki, że ma puszkę kompotu brzoskwiowego i puszkę kabaczków...  
— Żeby tak kielbaskę...  
— Będziecie mnie słuchać, czy nie? Hej, wy, uczeni, bacność! O, właśnie tak. Pragnę was zawiadomić, że jest wśród nas inspektor generalny Włodzimierz Siergiejewicz Jurkowski. Raczył nam ofiarować skrzynkę konserw ze swego stołu!  
— Cooo? — powiedział ktoś;  
— Nie, to już nawet niedowcipne. Kogo trzymają się takie żarty?  
Z kąta rozległo się:  
— Eee... dzień dobry.  
— Ba! Włodzimierz Siergiejewicz? Jak to się stało, żeśmy pana nie zauważyli?  
— Schamieliśmy tu, bracia niszczyciele planet!  
— Włodzimierzu Siergiejewiczu! Czy to prawda z tymi konserwami?  
— Szczera prawda — powiedział Jurkowski.  
— Hura!  
— Jeszcze raz...  
— Hura!  
— Jeszcze raz...  
— Huraaaa!  
— Konserwy są mięsne — powiedział Jurkowski. W pomieszczeniu rozległ się jęk zgłodniałych.  
— Ech, że też tu nieważkość! Takiego człowieka trzeba podrzucać w górę, na rękach nosić! W otwarty luk wsunęła się jeszcze jedna broda.  
— Co tak ryczycie? — spytała ponuro. — Wyprzedzenie otrzymaliśmy, a czy wiecie, że nie ma co żreć? Tankowiec przykużytyka dopiero jutro.  
Przez chwilę wszyscy patrzyli na brodę. Człowiek z muskularnym karkiem powiedział smętnie:  
— Poznają kosmogonistę po wykwintnych wyrażeniach.  
— Może pošlemy go po konserwy?

— Paweł, przyjacielu — powiedział Kostia — zaraz pójdziesz po konserwy. Idź, włoż skafander próżniowy. Brodacz spojrzał nań podejrzliwie.

— Jura — powiedział Jurkowski — odprowadź towarzysza na „Tachmasiba”. Nie, lepiej sam pójde.

— Dzień dobry, Włodzimierzu Siergiejewiczu — powiedział brodacz rozptylając się w uśmiechu. — Jak pan do nas trafił?

Odsunął się od luku, robiąc Jurkowskiemu przejście. Wyszli.

— Jurkowski to wspaniały człowiek. Dobry człowiek.

— A po co przyjechał do nas na inspekcję?

— Nie na inspekcję. O ile dobrze zrozumiałem, przyjechał z ciekawości.

— A, to co innego.

— Czy nie mógłby czegoś zrobić w sprawie rozszerzenia programu?

— Rozszerzenie programu swoją drogą. Żeby tylko nie obciążał nam etatów. Pójde sprzątnąć swoją pościel z windy.

— Tak, inspektorzy nie lubią, żeby ludzie mieszkali w windach!

— Uczni, nie bójcie się. Wszystko mu już powiedziałem. On nie taki. To przecież Jurkowski!

— Chłopcy, poszukajmy stołówek. W bibliotece ją urządzić, czy co?

— W bibliotece wszystko pozostawiali kosmogoniści. Wszyscy po kolei zaczęli wyłazić przez luk. Człowiek z muskularnym karkiem podszedł do Kosty i powiedział cicho:

— Kostia, daj mi jeszcze jedną pigułkę. Mdli mnie coś.

Eunomia pozostała daleko za nimi. „Tachmasib” trzymał kurs na planetoidę Bambergę — królestwo tajemniczej „Space Peari Limited”. Jura obudził się w środku nocy — bolało go i swędziało ukłucie pod łopatką, męczyło go straszne pragnienie. Usłyszał ciężkie, nierówne kroki w korytarzu. Wydało mu się nawet, że słyszy stłumiony jęk. Duchy, pomyślał z irytacją, tylko tego brakowało. Nie schodząc z postania uchylił drzwi i wyjrzał. Na korytarzu, dziwnie przechylony na bok, stał Jurkowski w swym wspaniałym szlafroku. Twarz miał obrzmiałą, oczy zamknięte. Oddychał szybko i ciężko przez skrzywione usta.

— Włodzimierzu Siergiejewiczu! — zawołał przestraszony Jura. — Co panu jest?

Jurkowski szybko otworzył oczy i spróbował wyprostować się, lecz zgięło go znów.

— Ciicho! — powiedział pospiesznie i groźnie, po czym krzywiąc się podszedł do Jury. Jura odsunął się i przepuścił go do kajuty. Jurkowski starannie zamknął drzwi i ostrożnie usiadł obok Jury.

— Dlaczego nie śpisz? — spytał szeptem.

— Włodzimierzu Siergiejewiczu, co panu jest? — wyszeptał Jura. — Źle się pan czuje?

— Głupstwo, to wątroba. — Jura z przerażeniem patrzył na jego ręce, konwulsyjnie przyciśnięte do boku, jak skamieniałe. — Zawsze mi dokuczają, przeklęta, po udarze promiennym... A jednak dobrze, że byliśmy na Eunomii. Oto ludzie. Jura, prawdziwi ludzie! Robociarze. Czyści. I żadni bylejakierzy im nie przeszkodzą — ostrożnie oparł się plecami o ścianę i Jura szybko podsunął mu poduszkę. — Śmieszne słowo „bylejakierzy”, prawda, Jura? Ale teraz niedługo zobaczymy innych ludzi... Całkiem innych... Zgnilizna, draństwo... Gorszi od marsjańskich pijawek... Ty oczywiście nie spotkasz się z nimi, ale ja będę musiał... — Zamknął oczy. — Jura... wybac... ja, być może, tu... zasnę... Wziąłem... lekarstwo... Jeśli zasnę... idź... spać do mnie...

*Przełożył Michał Wołodźko*